



REKORDOWY RUDEL MIĘDZY OPARZNYM I PRZYBYSŁAWIEM

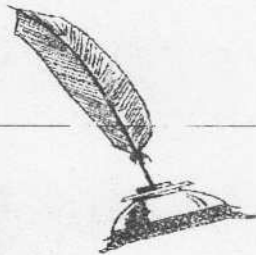
Miesiąc był ciepły, bezśnieżny. Tempo dokarmiania zmniejszyliśmy więc niemal do zera. Odstrzały zwierzyny grubej też dawno wykonane, a więc - **pora na lisy!** Tylko, że tych rudzielców jest już coraz mniej, co zresztą cieszy, bo drobnej zwierzyny - poza chronionymi "gincącymi" drapieżnikami - nie widać w ogóle. Saren też nie ma tyle, co jeszcze kilka lat temu. Znajduje się je też padłe i rozszarpane - to pewnie dzięki "biednym bezdomnym psiakom". Nie mniej jednak, czasami można spotkać większe rudle. W niedzielę 17 lutego prezes Włodek Pilarz podczas objazdu łowisk spotkał pod Oparzнем rudel, w którym naliczył 67(!) saren, co nawet w dobrych sarnich latach należałoby do rzadkości.



TAKICH WIDOKÓW NAM BRAKUJE, ...



ZA TO TEGO PTACTWA MAMY W TERENIE W BRÓD



WSPOMNIENIE

Wspomnienie niecodziennej przygody
niemłodego wiekiem,
ale bardzo młodego stażem myśliwego.

DZIEWIĘĆ STRZAŁÓW I ODYNIĘC NA DOKŁADKĘ

To niecodzienna, niepowtarzalna chyba, przygoda łowiecka miała miejsce w pierwszym moim sezonie polowań, w lutym 1999 roku, w obwodzie nr 89, w łowisku "Laufer".

Księżyc w pełni, temperatura +5 stopni, lekki wiaterek, a wszystko spowija jednolita, skrzęca się w blasku księżyca, kilkunastocentymetrowa świeża i puszysta warstwa śniegu. W łowisku jestem około 21.30. Na miejsce zasiadki wybieram ulubioną, pcdmokrą łączkę "dziczą", zamkniętą z trzech stron lasem. Łączka wiosną, latem i jesienią tętni życiem - dzików, saren i jeleni, ale zimą jest martwa. Wybór miejsca zasiadki podyktowany jest więc raczej wcześniejszymi wspomnieniami niż zdrowym rozsądkiem. Podjeżdżam samochodem niemal do samego stanowiska i stawiam go w cieniu grubej sosny. Tak więc: za mną samochód, nade mną księżyc w pełni, a przede mną kołdra śniegu bajkowa sceneria. Jeżeli nawet nic nie wyjdzie, to i tak wspólnie być w takim czasie w lesie. Krótkie przygotowania i lornetka do oczu. Jest lis, kręci się po łączce. To miłe zaskoczenie, bo przecież minęło zaledwie kilkanaście minut jak tu podjechałem. Lis jest dość daleko, strzał niepewny, a huk z Sauera 30-06 będzie oznaczał koniec polowania w tym miejscu. Jeśli więc zdecydować się na strzał, to wołałbym być pewny sukcesu. Postanawiam wabić. Efekt jest taki, że zaniepokojony lis odchodzi jeszcze dalej. To nie wabienie, to straszenie - muszę się jeszcze dużo nauczyć. Ale co to? Nadchodzą dwa inne lisy (w sumie są już trzy) i są bliżej mnie. Sztucer na podpórkę i strzał. Wszystko znika. Lornetka do oczu i obserwacja: w miejscu, w którym powinien leżeć lis jest tylko biel śniegu. Trudno, ale decyduję się odczekać kilka minut, a potem sprawdzić. Tymczasem, ku mojemu kompletnemu zaskoczeniu, za kilka minut wychodzą na łączkę - jeden za drugim - dwa lisy i podążają w miejsce, gdzie kręciły się te poprzednie. Zastanawiam się, czy to są te same, czy inne, i czemu tak szybko wyszły? Przecież narobiłem przed chwilą tyle rabanu strzałem. A może jednak trafiłem i do leżącej liszki w okresie ciecarki

przyszły psy? Tym bardziej, że były trzy lisy, a teraz są dwa. Dziwne to i nie w pełni zrozumiałe. Ale trudno mieć pretensje, przecież w końcu o to chodzi, żeby się coś działo. Ponowny skład, strzał - i znów nie widzę leżącego lisa. W takiej pełni, na śniegu wydaje się niemożliwe, żeby nie trafił. Ale lisa nie ma, więc jednak chyba pułdo.

Jakież jest moje zdziwienie, gdy po kilku minutach (już po dwóch strzałach!) na łączkę wychodzą - jeden za drugim - dwa lisy. Scenariusz identyczny jak przed kilkoma minutami: idą w to samo miejsce. Teraz już się irytuję, bo wygląda na to, że lisy mnie mają za nic i naigrywają się z moich umiejętności łowicko strzeleckich. A może są wściekłe? Dostyc Czapla zabawy - myślę - lisy się proszą na strzał i teraz musisz trafić. Robię błyskawiczną powtórkę z teorii i praktyki strzeleckiej, zwracam uwagę na każdy szczegół. A po strzale ... znów nie widzę leżącego lisa. Chwila refleksji. Sprawdzam lunetę: prawidłowo osadzona, montaż solidny. Nie szukaj dziury w całym - mruczę do siebie - jesteś dupa, nie strzelec; na strzelnicę po naukę, a nie do łowiska! Tymczasem magazynek mam już pusty, więc idę po naboje. Dobrze, że auto stoi tuż za mną i, że mam w nim zapas kul. Ledwie załadowałem magazynek, a już na łączce widzę ... dwa lisy! Sytuacja jest już dla mnie tak paradoksalna, że nie próbuję nawet nic zrozumieć. Nie napiszę tego, co wykrzyknąłem w duchu do siebie, po kolejnym - czwartym już strzale - po którym nie zobaczyłem rozciągniętego na śniegu lisa. Dokładnie taki sam scenariusz powtarzał się jeszcze kilkakrotnie. Strzał (w jednym wypadku nawet dwa), po nim tylko biel śniegu, a w kilka minut później wychodzą na łączkę - jeden za drugim - dwa lisy. Trwało to wszystko mniej więcej jedną godzinę. Po oddaniu dziewiątego strzału odczekałem 20 minut łączka była pusta, lisom widocznie znudziła się już ta zabawa. A i mnie właściwie też. Na pocieszenie wmawiam w siebie, że chociaż sobie postrzelałem, i że to nic, że żadnego lisa nie trafiłem, bo i tak wrażeń było sporo.



Dla zasady idę na zestrzał. A tu ... jakie miłe rozczarowanie: **w promieniu dosłownie dwóch metrów leży w śniegu siedem lisów, a kilka metrów dalej ósmy** - ten, do którego strzelałem dwa razy (dwie kule zrobiły swoje i ten lis ze względów estetycznych nie nadawał się do fotografowania). Odczułem ogromną satysfakcję, tym większą, że przed chwilą byłem tak rozgoryczony swoimi umiejętnościami strzeleckimi w tak obfitującą w lisy noc. A to po prostu na łączce było niewielkie zagłębienie i kępki trawy, co zasłaniało leżące lisy. A wrażenie pozornej równości dawała pokrywa świeżego śniegu. Obejrzałem jeszcze łączkę: nie było tu nic, co mogłoby lisy przywabić - a więc całe zdarzenie było zupełnie przypadkowe!

Na koniec tej niezwyklej mojej przygody miało miejsce jeszcze jedno spotkanie. Gdy już do samochodu zaciągnąłem lisy i oddałem się ceremoniałowi łowieckiemu, za plecami w lesie usłyszałem trzask. Obejrzałem się: w odległości około 50 m stał wielki odyniec. Oczom nie wierzyłem, a rozumem nie pojmowałem, jak po godzinie kanonady zjawił się tu ostrożny przecież

zawsze odyniec? Czyżby przyszedł po lisy? Dzik chwilę poobserwował z lasu łączkę, potem przeszedł kilkanaście metrów obok mnie i upewniwszy się o swoim bezpieczeństwie, wyszedł z lasu. Pobuchtował chwilę na skraju łączki, po czym oddalił się na jej przeciwległą stronę i zniknął w otaczającym ją lesie.



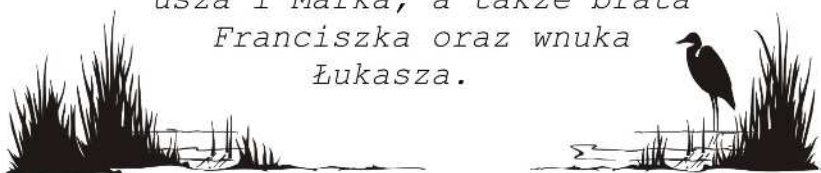


Urodzony w roku 1935 we Francji. Zaraz po wojnie w roku 1946 przyjechał z rodziną do Polski. Osiadł na ziemi Koszalińskiej.

Przez wiele lat mieszkał w pałacu w Oparznie i pracował w tamtejszym gospodarstwie PGR. Do PZŁ wstąpił w roku 1970. Był jednym z członków sławnej i bardzo aktywnej w swoim czasie grupy kolegów z Oparzna - zwanych Kumotrami - wśród których wołano na niego Jureczek. Przez wiele lat na zbiorówkach leśnych był podkładaczem swoich ciętych jagdterierek. Był też członkiem zarządu "Sokoła", pełniąc funkcję gospodarza koła i organizatora imprez oraz biesiad plenerowych. Za swą aktywność został odznaczony MEDALEM ZASŁUGI ŁOWIECKIEJ. Zmarł w listopadzie roku 1997.

Pozostał zapamiętany przez nas jako wesoły kolega, pełen życzliwości i radości życia. Swoje umiłowanie przyrody, łowiectwa i lasu przekazał na synów Ireneusza i Marka, a także brata

Franciszka oraz wnuka Łukasza.



JUREK Z ROGACZEM



NA POCHODZIE 1.MAJOWYM



OBECNY KLAN PIEKARSKICH: MAREK, FRANEK (ROMAN) I IREK

2 lutego w lokalu Wiking w Świdwinie odbyło się tradycyjne coroczne spotkanie przedstawicieli kół z kierownictwem Nadleśnictwa Świdwin. Gospodarzem tym razem była "Cyranka". Głównym tematem rozmów była sarna. Wg nadleśniczego jej obecny stan jest znośny dla gospodarki leśnej. Wg myśliwych saren jest obecnie w łowiskach za mało i trzeba bądź ograniczyć odstrzały, bądź stworzyć sarnie warunki do bytowania poza lasami (w łowiskach polnych). Poza tym poruszano tematy kłusownictwa i szkód łowieckich czynionych przez dziki w łanach kukurydzy.



**BY ZWIERZ
BYŁ SYTY
I LAS CAŁY**

